



STEPHEN KING

CZTERY PORY ROKU

SKAZANI NA SHAWSHANK

Sądzę, że w każdym stanowym i federalnym więzieniu Ameryki jest taki facet jak ja — facet, który może wszystko załatwić. Ręcznie skręcane papierosy, kopciuch trawki, jeśli ją lubisz, butelkę brandy, aby uczcić ukończenie szkoły przez syna lub córkę, czy prawie wszystko inne... oczywiście, w granicach rozsądku. Nie zawsze tak było.

Przybyłem do Shawshank, mając zaledwie dwadzieścia lat, i jestem jednym z niewielu członków nielicznej szczęśliwej rodziny przyznających się do tego, co zrobili. Popeliłem morderstwo. Wykupiłem polisę ubezpieczeniową na nazwisko mojej żony, o trzy lata starszej ode mnie, a potem uszkodziłem hamulce chevroleta coupe, który jej ojciec dał nam w prezencie ślubnym. Wszystko poszło tak, jak zaplanowałem. Nie przewidziałem, że zjeżdżając z Castle Hill do miasta, zatrzyma się i zabierze sąsiadkę z niemowlęciem. Hamulce puściły i samochód przeleciał przez krzaki na granicy miasta, nabierając szybkości. Przypadkowi przechodnie powiedzieli, że musiał jechać ponad pięćdziesiąt mil na godzinę, kiedy uderzył w postument posągu ofiar wojny domowej i stanął w płomieniach.

Nie przewidziałem także, że zostanę schwytany, ale tak się stało. Dostałem dożywocie. W stanie Maine nie ma wyroku śmierci, lecz prokurator okręgowy postarał się, żeby skazano mnie za wszystkie trzy śmierci i orzeczono trzy dożywocia, do odsiedzenia jedno za drugim. Na długi, długi czas pozbawiało mnie to szans na

zwolnienie warunkowe. Sędzia nazwał mój czyn „ohydną, potworną zbrodnią”, którą w istocie był, ale teraz to już przeszłość. Na pożółkłych stronach „Call” wielkie nagłówki ogłaszające wyrok wyglądają trochę zabawnie i staromodnie obok wiadomości o Hitlerze, Mussolinim i poczynaniach F. D. Roosevelta.

Pytacie, czy się tu zrehabilitowałem? Nawet nie wiem, co to słowo oznacza, przynajmniej w odniesieniu do więźniów i systemu penitencjarnego. Sądzę, że to termin używany przez polityków. Może ma jakieś inne znaczenie i może będę miał okazję je odkryć, ale dopiero w przyszłości... czyli w czymś, o czym więźniowie uczą się nie myśleć. Byłem młody, przystojny i z biednej dzielnicy miasta. Sypiałem ze śliczną, posepną, upartą dziewczyną, która mieszkała w jednym z ładnych starych domów przy Carbine Street. Jej ojciec zgodził się na małżeństwo pod warunkiem, że podejmę pracę w jego firmie optycznej i „zdobędę sobie w niej pozycję”. Przekonałem się, że w rzeczywistości chciał mieć mnie na oku i w zasięgu ręki jak nieposłusznego psa, który nie jest całkiem oswojony i może ugryźć. W końcu nagromadziło się między nami tyle nienawiści, że zrobiłem to, za co siedzę. Gdybym mógł cofnąć czas, nie popełniłbym tej zbrodni, jednak nie jestem pewien, czy to oznacza, że jestem zrehabilitowany.

W każdym razie, nie zamierzam opowiadać wam o sobie; chcę powiedzieć wam o faciecie, który nazywał się Andy Dufresne. Zanim jednak opowiem wam o Andym, muszę wyjaśnić kilka rzeczy o sobie. To nie potrwa długo.

Jak już wspomniałem, od prawie czterdziestu lat jestem tu, w tym cholernym Shawshank, facetem, który wszystko może załatwić. I nie chodzi tu tylko o drobny przemyt dodatkowych papierosów czy gorzały, chociaż te rzeczy zawsze są na czele listy najbardziej pożądanых artykułów. Zorganizowałem tysiące różnych innych rzeczy dla odsiadujących wyroki, niektóre z nich były zupełnie niewinne, lecz trudne do zdobycia w miejscu takim jak to. Był pewien gość, który siedział za zgwałcenie dziewczynki i obnażanie się przed tuzinami innych; załatwiłem mu trzy kawałki różowego marmuru z Vermont, z których wykonał trzy cudowne rzeźby — dziecka, chłopca i brodatego młodzieńca. Nazwał je „Trzy postacie Jezusa” i posązki te stoją teraz w gabinecie człowieka, który był gubernatorem tego stanu.

Albo weźmy nazwisko, które możecie pamiętać, jeśli wychowaliście się na północy Massachusetts — Robert Alan Cote. W tysiąc

dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku próbował obrabować Pierwszy Przemysłowy Bank w Mechanic Falls i napad zmienił się w krwawą rzeź — sześciu zabitych, w tym dwóch członków bandy i trzech zakładników oraz młody policjant, który w niewłaściwej chwili wychylił głowę i dostał kulę w oko. Cote zbierał monety. Oczywiście, nie mieli zamiaru pozwolić mu trzymać ich w celi, ale z niewielką pomocą jego matki i kierowcy furgonetki z pralni zdołałem mu je dostarczyć. Powiedziałem mu: „Bobby, musisz być stuknięty, żeby sprowadzać kolekcję monet do tego kamiennego hotelu pełnego złodziei”. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i odparł: „Wiem, gdzie je schować. Będą bezpieczne. Nie martw się”. I miał rację. Bobby Cote umarł w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym na raka mózgu, ale jego monet nigdy nie znaleziono.

Załatwiałem ludziom czekoladki na walentynki; dla szalonego Irlandczyka nazwiskiem O'Malley ściągnąłem trzy z tych zielonych koktajli mlecznych, jakie podają w Dniu Świętego Patryka u McDonalda; zdołałem nawet urządzić nocny pokaz „Głębokiego gardła” i „Diabeł w pannie Jones” dla grupki dwudziestu facetów, którzy złożyli się, żeby wypożyczyć te filmy... chociaż musiałem potem odsiedzieć tydzień w karcerze. To ryzyko, jakie ponosisz, będąc człowiekiem, który może wszystko załatwić.

Ściągałem poradniki i pornografię, zabawne artykuły, takie jak brzęczyki i proszek wywołujący swędzenie, a ponadto nieraz wystarałem się, żeby długoterminowy dostał majteczki żony lub przyjaciółki... a sądzę, że domyślacie się, co faceci tutaj mogą robić w długie noce, kiedy czas ciągnie się jak guma. Nie załatwiam wszystkich tych rzeczy za darmo, a niektóre mają wysoką cenę. Jednak nie robię tego tylko dla pieniędzy; po co mi pieniądze? Nigdy nie będę miał cadillaca ani nie polecę w lutym na dwa tygodnie na Jamajkę. Robię to z tego samego powodu, z jakiego porządny rzeźnik sprzeda wam wyłącznie świeże mięso; mam dobrą opinię, której nie chcę stracić. Odmawiam sprowadzania tylko dwóch rzeczy: broni i twardych narkotyków. Nie zamierzam nikomu pomóc w popełnieniu morderstwa czy samobójstwa. Mam już tyle trupów na sumieniu, że wystarczy mi do końca życia.

Tak, prawdziwy ze mnie Neiman-Marcus. Dlatego gdy Andy Dufresne przyszedł do mnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym

dziewiątym i zapytał, czy mogę przemycić dla niego Ritę Hayworth, powiedziałem mu, że nie będzie z tym żadnego problemu. I nie było.



Kiedy Andy przybył w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym do Shawshank, miał trzydzieści lat. Był niskim, schludnym młodym mężczyzną o jasnych włosach i małych, zręcznych dłoniach. Nosił okulary w złotych oprawkach. Paznokcie miał zawsze przycięte i czyste. To dziwne, żeby zapamiętać kogoś w ten sposób, ale właśnie te cechy wydawały mi się najbardziej charakterystyczne dla Andy'ego. Wyglądał tak, jakby brakowało mu krawatu. Na wolności był wiceprezesem działu kredytów dużego banku w Portland. Dobra posada dla kogoś tak młodego jak on, zwłaszcza wobec konserwatyizmu większości banków... dziesięciokrotnie większego na terenie Nowej Anglii. Mieszkańcy nie powierzą nikomu pieniędzy, jeśli nie jest łysy, kulawy i nieustannie nie podciąga spodni, poprawiając sobie pas przepuklinowy. Andy siedział za zamordowanie żony i jej kochanka.

Jak już chyba mówiłem, każdy więzień jest niewinny. Och, recytują ten tekst w taki sposób, jak ci święci mężowie w telewizji cytują Księgę Objawienia. Są ofiarami sędziów o kamiennych sercach i bez jaj, niekompetentnych polityków, sprzedajnych policjantów lub fatalnego zbiegu okoliczności. Powtarzają ten tekst, lecz na ich twarzach jest wypisane coś innego. Większość więźniów to nędzne kreatury, nie potrafiące żyć z innymi i ze sobą, a ich największym nieszczęściem jest to, że w ogóle się urodzili.

Podczas wszystkich tych lat spędzonych w Shawshank napotkałem mniej niż dziesięciu mężczyzn, którym uwierzyłem, gdy mówili mi, że nie są winni przypisywanych im zbrodni. Jednym z nich był Andy Dufresne, chociaż dopiero z czasem nabrałem przekonania o jego niewinności. Gdybym był sędzią rozpatrującym jego sprawę w Portlandzkim Sądzie Najwyższym podczas tych sześciu burzliwych tygodni na przełomie tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego i czterdziestego ósmego roku, ja również głosowałbym za skazaniem.

To była paskudna sprawa; jedna z tych smakowitych, ze wszystkimi odpowiednimi elementami. Piękna dziewczyna z towarzystwa (martwa), miejscowy sportowiec (również martwy) i wybitny młody biznesmen (w areszcie). To wszystko, plus wszelkie skan-

daliczne szczegóły, o jakich mogły napomykać gazety. Wyrok był z góry przesądzony. Proces trwał tak długo tylko dlatego, że prokurator okręgowy zamierzał startować w wyborach do Izby Reprezentantów i chciał, żeby Jasio Publika dobrze zapamiętał jego dziób. To był istny prawniczy cyrk, z widzami ustawiającymi się w kolejce do sali sądowej o czwartej rano mimo minusowych temperatur.

Fakty, na jakich opierało się oskarżenie, a których Andy nigdy nie podważał, wyglądały następująco: miał żonę, Lindę Collins Dufresne, która w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego wyraziła chęć nauczenia się gry w golfa w Falmouth Hills Country Club; lekcje te pobierała przez cztery miesiące; jej instruktorem był zawodowy gracz w golfa z Falmouth Hills, Glenn Quentin; pod koniec sierpnia Andy dowiedział się, że Quentin i jego żona zostali kochankami; Andy i Linda Dufresne gwałtownie pokłócili się po południu dziesiątego września; powodem sprzeczki była jej niewierność.

Zeznał, że Linda przyjęła z zadowoleniem fakt, że wie o jej zdradzie; ukrywanie się, powiedziała, było przygnębiające. Oznajmiła Andy'emu, iż zamierza postarać się o rozwód w Reno. Andy zapowiedział, że prędzej zobaczy ją w piekle niż w Reno. Wyszła, by spędzić noc w bungalowie, który Quentin wynajmował nieopodal terenów golfowych. Następnego ranka sprzątaczką znalazła ich oboje w łóżku, martwych. Obojgu ktoś wpakował po cztery kule.

Właśnie ten ostatni fakt najsilniej przemawiał przeciwko Andy'emu. Prokurator z politycznymi aspiracjami robił wokół tego wiele szumu w swoim przemówieniu wstępnym i końcowym. Andrew Dufresne, powiedział, nie był rozwścieczonym mężem szukającym gwałtownej zemsty na niewiernej żonie; to, rzekł prokurator, można by zrozumieć, jeśli nie wybaczyć. Jednak oskarżony działał z zimną krwią. „Zważcie tylko! — grzmiał ku ławie przysięgłych. Cztery i cztery! Nie sześć strzałów, lecz osiem! Wystrzelał cały magazynek... a potem spokojnie załadował broń ponownie, żeby znów do nich strzelić!”

CZTERY DLA NIEGO I CZTERY DLA NIEJ, oznajmił portlandzki „Sun”. Bostoński „Register” nazwał go „perfekcyjnym zabójcą”.

Pracownik lombardu w Lewiston zeznał, że sprzedał Andrew Dufresnemu sześciostrzałowy Police Special, kaliber trzydzieści osiem, zaledwie dwa dni przed podwójnym morderstwem. Barman

z klubu golfowego twierdził, że Andy przyszedł tam około siódmej wieczorem dziesiątego września, wychylił trzy duże whisky w ciągu dwudziestu minut — a wstając ze stołka, powiedział mu, że teraz idzie do domu Glenna Quentina, a resztę on, barman, „przeczyta w gazetach”. Inny świadek, zatrudniony w sklepiku Handy-Pik mniej więcej milę od domu Quentina, oświadczył w sądzie, że Dufresne odwiedził ich za kwadrans dziewiąta tego samego wieczoru. Kupił papierosy, trzy puszki piwa i ściereczki do naczyń. Patolog sądowy stwierdził, że Quentin i żona Dufresnego zostali zabici między jedenastą a drugą w nocy z dziesiątego na jedenastego września. Prowadzący sprawę detektyw z biura prokuratora generalnego zeznał, że niecałe siedemdziesiąt jardów od bungalowu była zatoczka do parkowania, na której jedenastego września zabezpieczono trzy dowody: po pierwsze, dwie puste puszki po piwie Narragansett (z odciskami palców oskarżonego); po drugie, dwanaście niedopałków papierosów (marki Kool, jakie pali oskarżony); a po trzecie, gipsowy odlew opon (dokładnie pasujący do wzoru bieżnika opon samochodu plymouth rocznik czterdzieści siedem, należącego do oskarżonego).

Na sofie w bawialni bungalowu Quentina znaleziono cztery ściereczki do naczyń. Były podziurawione kulami i osmolone od strzałów. Detektyw wyraził przypuszczenie (mimo gorących sprzeciwów adwokata Andy’ego), że morderca owinął ściereczkami lufę broni, żeby stłumić huk wystrzałów.

Andy Dufresne zeznawał jako świadek obrony i spokojnie, chłodno, beznamytnie przedstawił swoją wersję wydarzeń. Powiedział, że już w ostatnim tygodniu lipca zaczęły docierać do niego niepokojące plotki o jego żonie i Glennie Quentinie. Pod koniec sierpnia zaniepokoił się na tyle, żeby sprawdzić ich zasadność. Pewnego wieczoru, kiedy Linda miała po lekcji golfa udać się na zakupy do Portland, Andy pojechał za nią i Glennem Quentinem do piętrowego domku, który wynajmował instruktor (nieuchronnie nazywanym w gazetach „miłosnym gniazdkiem”). Zaparkował w zatoczce i zaczął, aż Quentin po trzech godzinach odwiózł ją do klubu golfowego, gdzie zostawiła samochód.

— Chce pan powiedzieć sądowi, że śledził pan żonę w pańskim nowiutkim plymoucie? — zapytał prokurator, biorąc go w krzyżowy ogień pytań.

— Na ten wieczór zamieniłem się samochodem ze znajomym — odparł Andy i to spokojne stwierdzenie, dowodzące, jak starannie

zaplanował śledztwo, nie postawiło go w korzystnym świetle w oczach sądu.

Zwróciwszy znajomemu samochód i odebrawszy swój, pojechał do domu. Linda leżała w łóżku, czytając książkę. Zapytał, jak udał się jej wypad do Portland. Odparła, że było miło, ale nie znalazła niczego, co spodobałoby się jej aż tak, żeby to kupić.

— Wtedy byłem już pewny — rzekł Andy wstrzymującym dech słuchaczom. Mówił tym samym chłodnym, obojętnym tonem, jakim wygłaszał niemal całe swoje oświadczenie.

— W jakim stanie umysłu pozostawał pan przez siedemnaście dni dzielących ten wieczór od nocy, w której pańska żona została zamordowana? — zapytał go jego adwokat.

— Byłem okropnie przygnębiony — odparł spokojnie Andy. Dodał beznamytnie, że zastanawiał się nad samobójstwem i nawet posunął się do tego, że ósmego września kupił w Lewiston rewolwer.

Potem adwokat poprosił go, żeby opowiedział sądowi, co zaszło w noc morderstwa po tym, jak żona opuściła go i pojechała do Glenna Quentina. Andy spełnił to polecenie... i wywarł jeszcze gorsze wrażenie.

Znałem go przez blisko trzydzieści lat i mówię wam, że był najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego spotkałem. To, co dobre, ujawniał powoli. To, co złe, tłumił w sobie. Jeżeli kiedykolwiek przeżył jakieś załamanie nerwowe, jak nazywał to jeden czy drugi pismak, nigdy tego nie okazał. Był typem człowieka, który decydując się popełnić samobójstwo, nie zostawiłby żadnego listu, ale starannie uporządkowałby wszystkie swoje sprawy. Gdyby płakał na ławie oskarżonych, gdyby głos łamał mu się i zaciął, a nawet gdyby zaczął krzyczeć na prokuratora okręgowego, sędzę, że nie dostałby dożywocia, na jakie go skazano. A jeśli, to wyszedłby warunkowo w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Jednak on zachowywał się w sali sądowej jak automat, swoją postawą sugerując: „Tak było. Wierczcie lub nie”. Nie uwierzyli.

Powiedział, że tamtej nocy był pijany, że był mniej lub bardziej pijany od dwudziestego czwartego sierpnia, a nie jest człowiekiem, który ma mocną głowę. Oczywiście, już samo to trudno byłoby przełknąć jakimkolwiek sędziemu. Nie wyobrażali sobie, by taki opanowany młody człowiek w eleganckim trzyczęściowym garniturze mógł upijać się do nieprzytomności z powodu jakiegoś żoninego romansiku z małomiasteczkowym instruktorem golfa. Ja

w to uwierzyłem, ponieważ miałem okazję obserwować go dłużej niż tych sześciu mężczyzn i sześć kobiet.

Przez cały czas naszej znajomości Andy Dufresne wypijał najwyżej cztery drinki rocznie. Co roku spotykał się ze mną na spacerunku mniej więcej na tydzień przed swoimi urodzinami i dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Za każdym razem zamawiał butelkę Jacka Danielsa. Płacił za nie tak, jak większość skazanych płaci za kupowane artykuły — mizernym wynagrodzeniem, jakie tutaj dostają, oraz odrobiną własnych oszczędności. Do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku płacili dziesiątaka za godzinę. W sześćdziesiątym piątym podnieśli stawkę do dwudziestu pięciu centów. Moja żona na alkohol wynosiła i wynosi dziesięć procent, więc kiedy dodacie ten narzut do ceny butelki dobrej whisky takiej jak Black Jack dowiecie się, iloma godzinami ciężkiej pracy w pralni Andy Dufresne musiał okupić te cztery drinki rocznie.

Rankiem w dniu swoich urodzin, dwudziestego września, pociągał długi łyk, a następnym wieczorem, po zgaszeniu świateł. Naza jutrz oddawał mi prawie pełną butelkę, a ja częstowałem innych. Z drugiej butelki pociągał raz w Boże Narodzenie i ponownie w Nowy Rok. Potem i ona wracała do mnie z instrukcjami, kogo poczęstować. Cztery drinki rocznie — czy tak zachowuje się człowiek mający pociąg do kieliszka? Raczej trudno w to uwierzyć.

Powiedział sądowi, że w nocy dziesiątego września był tak pijany, że pamiętał tylko oderwane strzępy wydarzeń. Upił się tego popołudnia — „dla dodania sobie odwagi” — zanim rozmówi się z Lindą.

Kiedy odjechała na spotkanie z Quentinem, przypomniał sobie, że chciał stawić im czoło. W drodze do bungalowu Quentina zajechał do klubu golfowego na kilka kolejek. Powiedział, że nie pamięta, aby mówił barmanowi, że „resztę przeczyta w gazetach”, ani w ogóle cokolwiek. Przypomniał sobie, że w Handy-Pik kupił piwo, ale nie ściereczki. „Do czego byłyby mi potrzebne ściereczki?” — pytał i jedna z gazet podała, iż trzy panie wchodzące w skład ławy przysięgłych zadrżały.

Później, o wiele później, zastanawiał się przy mnie nad sprzedawcą, który zeznał o tych ściereczkach, i sądzę, że warto tu przytoczyć jego słowa.

— Założmy — rzekł mi kiedyś Andy na spacerunku — że gorączkowo szukając świadka, natknęli się na faceta, który tamtej

nocy sprzedał mi piwo. Od tego czasu minęły już trzy dni. Wszystkie szczegóły tej sprawy zostały opisane w gazetach. Może przycisnęli gościa, pięciu lub sześciu gliniarzy, plus tajniak z biura prokuratora i asystent. Pamięć jest podatna na sugestię, Rudy. Mogli zacząć od pytań typu: „Czy on mógł nabyć cztery czy pięć ścierek?”, a potem poszło łatwo. Jeśli wystarczająca liczba ludzi chce, żebyś coś sobie przypomniał, potrafią być bardzo przekonujący.

Zgodziłem się z tym.

— Jednak jeszcze bardziej przekonujący był ktoś inny — ciągnął Andy, głośno myśląc. — Uważam za co najmniej prawdopodobne, iż sam się przekonał. To blask sławy. Reporterzy zadający mu pytania, jego zdjęcia w gazetach... a ukoronowaniem wszystkiego rola gwiazdy w sądzie. Nie twierdzą, że świadomie zmyślał czy krzywoprzysięgał. Sądzę, że śpiewająco przeszedłby test na wykrywaczu kłamstw albo poprzysiągł na świętej pamięci mamusię, że kupiłem te ścierki. Mimo to... pamięć jest tak cholernie podatna na sugestię. Nawet mój adwokat, który uważał, że co najmniej połowa mojej opowieści jest kłamstwem, nie kupił tej historyjki z ścierkami. Jest zupełnie poroniona. Byłem pijany jak świnia, zbyt schlany, żeby myśleć o wytlumieniu strzałów. Gdybym to zrobił, po prostu pociągnąłbym za spust.

Podjechał do zatoczki i zaparkował. Pił piwo i palił papierosy. Patrzył, jak gasną światła na parterze domku Quentina. Widział, jak zapaliło się światło w pokoju na górze... a piętnaście minut później i ono zgasło. Powiedział, że domyślił się reszty.

— Panie Dufresne, czy wszedł pan wtedy do domu Glenna Quentina i zabił tych dwoje? — zagrzmiął jego adwokat.

— Nie, nie wszedłem — odparł Andy. Zeznał, że około północy zaczął trzeźwieć. Postanowił wrócić do domu, przespać się i następnego dnia przemyśleć wszystko w bardziej dojrzały sposób. — I wtedy, jadąc do domu, doszedłem do wniosku, że najrozsądniej zrobiłbym, pozwalając jej jechać do Reno i załatwić rozwód.

— Dziękuję, panie Dufresne.

Prokurator podskoczył.

— Rozwiódł się pan z nią najszybciej, jak pan mógł, prawda? Rozwiódł się pan z nią za pomocą rewolweru kalibru trzydzieści osiem owiniętego w ścierki, tak?

— Nie, proszę pana, nie zrobiłem tego — odparł spokojnie Andy.

— A potem zastrzelił pan jej kochanka.
— Nie, proszę pana.
— Chce pan powiedzieć, że kochanka zastrzelił pan najpierw?
— Chcę powiedzieć, że nie zastrzeliłem żadnego z nich. Wypiłem dwie puszkę piwa i wypaliłem ileś papierosów, których niedopałki policja znalazła w zatoczce. Potem pojechałem do domu i poszedłem do łóżka.

— Oświadczył pan sądowi, że między dwudziestym czwartym sierpnia a dziesiątym września miał pan samobójcze myśli.

— Tak, proszę pana.

— Na tyle silne, by kupić rewolwer.

— Tak.

— Czy zmartwiłby się pan, panie Dufresne, gdybym powiedział, że nie wydaje mi się pan typem samobójcy?

— Nie — odparł Andy — bowiem nie sprawia pan na mnie wrażenia specjalnie wrażliwego i bardzo wątpię, czy mając ochotę popełnić samobójstwo, przyszedłbym do pana z moim problemem.

W sali sądowej rozległy się stłumione chichoty, ale ta uwaga nie przysporzyła Andy'emu sympatii sędziów.

— Czy zabrał pan ze sobą tę trzydziestkęósemkę w nocy dziesiątego września?

— Nie; jak już mówiłem...

— Ach tak! — uśmiechnął się sarkastycznie prokurator. — Rzucił go pan do rzeki, prawda? Do Royal. Po południu dziewiątego września.

— Tak, proszę pana.

— Dzień przed morderstwem?

— Tak, proszę pana.

— Bardzo wygodne, prawda?

— Ani wygodne, ani niewygodne. To prawda.

— Sądzę, że słyszał pan zeznanie porucznika Minchera?

Mincher dowodził grupą, która przeczeswała rzekę w pobliżu mostu Pond Road, z którego Andy rzucił broń. Policja nie znalazła jej.

— Tak, proszę pana. Wie pan, że słyszałem.

— A więc słyszał pan, jak mówił sądowi, że nie znaleźli żadnej broni, chociaż szukali jej trzy dni. To dość wygodne, prawda?

— Wygodne czy nie, pozostaje faktem, że jej nie znaleźli — odparł spokojnie Andy. — Jednak chciałbym przypomnieć zarówno panu, jak i Wysokiemu Sądowi, że ten most leży bardzo blisko

ujścia Royal do zatoki Yarmouth. Prąd jest tam silny. Broń mogła zostać zniesiona do zatoki.

— Tak więc nie można dokonać porównania śladów na kulach wyjętych z zakrwawionych ciał pańskiej żony i pana Glenna Quentina a gwintem lufy pańskiego rewolweru. Zgadza się, panie Dufresne?

— Tak.

— To również bardzo dogodne, prawda?

W tym momencie, według relacji prasowych, Andy okazał jedną z niewielu reakcji emocjonalnych, na jakie pozwolił sobie podczas całego sześciotygodniowego procesu. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny, kwaśny uśmiech.

— Ponieważ jestem niewinny zarzucanej mi zbrodni, proszę pana, a ponadto mówię prawdę, twierdząc, że rzuciłem broń do rzeki na dzień przed tym, zanim doszło do zbrodni, wydaje mi się zdecydowanie niedogodne, że nie znaleziono rewolweru.

Prokurator piłował go przez dwa dni. Ponownie przeczytał Andy'emu to, co sprzedawca z Handy-Pik zeznał o ścierkach. Andy powtórzył, że nie pamięta, aby je kupował, ale przyznał, iż nie pamięta także, że ich nie kupił.

Czy to prawda, że Andy i Linda Dufresne wykupili wspólną polisę ubezpieczeniową na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku? Tak, to prawda. I w razie śmierci żony, czyż Andy nie otrzymałby pięćdziesięciu tysięcy dolarów odszkodowania? Prawda. A czy nieprawdą jest, że udał się do domu Glenna Quentina z zamiarem popełnienia morderstwa, a ponadto, że zamierzał popełnić morderstwo dwukrotne? Nie, to nieprawda. A więc co, jego zdaniem, zaszło, skoro nie znaleziono żadnych śladów rabunku?

— Nie mam pojęcia, proszę pana — odparł spokojnie Andy.

Sprawę oddano do rozpatrzenia sądowi o pierwszej po południu w pewną śnieżną środę. Dwanaścioro sędziów wróciło na salę o trzeciej trzydzięci. Woźny wyznał, że wróciliby wcześniej, ale zwlekali, rozkoszując się smacznym pieczonym kurczakiem z restauracji Bentleya — na koszt okręgu. Uznali Andy'ego za winnego i — bracie — gdyby w stanie Maine istniała kara śmierci, zadyndałby, zanim wiosenne krokusy wystawiły swoje łebki ze śniegu.

Prokurator spytał, co jego zdaniem zaszło, a Andy uchylił się od odpowiedzi — jednak miał swoją koncepcję, którą wyciągnąłem z niego pewnej późnej nocy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Zajęło nam siedem lat, żeby przejść od uprzejmych ukłonów do dość zażyłej znajomości — ale nigdy nie czułem się naprawdę zaprzyjaźniony z Andym aż do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego, a wiercie mi, że byłem jedynym, który kiedykolwiek przestawał z nim bliżej. Jako długoterminowi, od początku do końca siedzieliśmy w tym samym oddziale, chociaż moja cela znajdowała się pół korytarza dalej.

— Co ja myślę? — zaśmiał się bez cienia rozbawienia. — Myślę, że tamtej nocy miałem ogromnego pecha. Większego, niż kiedykolwiek mógłbym mieć w tak krótkim czasie. Sądzę, że zrobił to jakiś obcy, który przypadkiem tamtędy przejeżdżał. Może ktoś, kto złapał gumę na tej drodze, kiedy pojechałem do domu. Może włamywacz. Może psychopata. Zabił ich, to wszystko. A ja jestem tutaj.

Tak po prostu. Miał spędzić w Shawshank resztę swego życia — a przynajmniej jego liczącą się część. Pięć lat później zaczął stawać przed komisją do spraw zwolnień warunkowych, która regularnie jak w zegarku odrzucała jego wnioski, chociaż był wzorowym więźniem. Zwolnienie z Shawshank, jeśli ma się wbić w papiery pieczętkę „morderstwo”, to powolny proces, równie powolny jak erozja skały przez płynącą rzekę. W skład komisji wchodziło siedem osób, dwie więcej niż w większości więzień stanowych, a każda z nich miała tyłek twardszy od kamienia wyjętego ze źródła wody mineralnej. Tych facetów nie można przekupić, nie można zagadać, nie można przebłagać. Jeśli chodzi o taką komisję, to pieniądze nie liczą się i nie ma mocnych. W przypadku Andy’ego w grę wchodziły również inne względy... ale to należy do dalszej części mojej opowieści.

Był pewien dobrze się sprawujący i uprzywilejowany więzień, niejaki Kendricks, który w latach pięćdziesiątych był mi winien sporo forsy i minęły cztery lata, zanim wszystko spłacił. Większość długu oddał w formie informacji — w moim interesie jesteś martwy, jeżeli nie znajdziesz sposobu, żeby trzymać ucho przy ziemi. Ten Kendricks, na przykład, miał dostęp do akt, do których ja, obsługując sztancę w więziennej wytwórni tablic, nigdy nie miałbym wglądu.

Kendricks powiedział mi, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym

siódmym komisja głosowała siedem do zera przeciw warunkowemu zwolnieniu Andy'ego Dufresnego, sześć do jednego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, znów siedem do zera w pięćdziesiątym dziewiątym i pięć do dwóch w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Nie wiem, jak było później, ale wiem, że po szesnastu latach nadal siedział w czternastej celi piątego oddziału. Miał już pięćdziesiąt siedem lat. Zapewne w przyptywie dobrego serca wypuściliby go około tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego. Dają ci dożywocie i zabierają całe życie — a przynajmniej całą jego liczącą się część. Może kiedyś cię wypuszczą, ale... no, posłuchajcie: Znałem takiego gościa, nazywał się Sherwood Bolton. Trzymał w celi gołębia od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do pięćdziesiątego trzeciego, kiedy to go wypuścili. Nie był żadnym Ptasznikiem z Alcatraz; po prostu miał tego gołębia. Nazywał go Jake. Wypuścił go na wolność dzień przed tym, zanim on, Sherwood, miał wyjść; gołąb poleciał tak pięknie, jak tylko można sobie życzyć. Jednak mniej więcej tydzień po tym jak Sherwood Bolton opuścił naszą szczęśliwą rodzinę, jeden z moich przyjaciół zawołał mnie do zachodniego kąta spacerniaka, gdzie zwykł przesiadywać Sherwood. Ptak leżał tam jak bardzo mała kupka przybrudzonej pościeli. Wyglądał na zagłodzonego. Mój przyjaciel zapytał: „Czy to nie Jake, Rudy?”. Miał rację. Ten gołąb był martwy jak krowie łajno.



Pamiętam, jak Andy Dufresne po raz pierwszy zwrócił się do mnie o coś; pamiętam to tak, jakby to było wczoraj. Jednak wtedy nie chciał Rity Hayworth. O nią poprosił później. Tego lata tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku chodziło mu o coś innego.

Większość moich interesów załatwiam na spacerniaku. Nasz dziedziniec jest wielki, o wiele większy od innych. Ma kształt kwadratu o boku dziewięćdziesięciu jardów. Od północy zamyka go zewnętrzny mur z wieżyczkami na obu końcach. Strażnicy są wyposażeni w lornetki i broń. W tym północnym murze znajduje się główna brama. Po południowej stronie ciągną się rampy wyładownicze dla ciężarówek. Jest ich pięć. W dni robocze Shaws-hank to ruchliwe miejsce — wozy dostawcze wjeżdżają i wyjeżdżają. Mamy tu wytwórnę tablic rejestracyjnych i wielką przemysłową pralnię, która obsługuje nasze więzienie, a ponadto szpital Kittery oraz Dom Starców w Eliot. Są tu także duże warsztaty

samochodowe, w których mechanicy naprawiają pojazdy więzienne, stanowe i municypalne — nie wspominając o prywatnych autach strażników i personelu więzienia... a także, nieraz, członków komisji zwolnień warunkowych.

Wschodni bok dziedzińca to gruby kamienny mur z mnóstwem wąskich okienek. Po jego drugiej stronie znajduje się oddział piąty. Od zachodu ulokowano administrację oraz izbę chorych. Shawshank nigdy nie było tak zatłoczone jak większość więzień, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym było wypełnione zaledwie w dwóch trzecich, ale na dziedzińcu zawsze przebywało od osiemdziesięciu do stu dwudziestu więźniów — grających w piłkę nożną lub w koszykówkę, opowiadających dowcipy, ziewających, ubijających interesy. W niedziele spaceriak był jeszcze bardziej zatłoczony; przypominałby miejsce pikniku... gdyby były z nami kobiety.

Andy po raz pierwszy przyszedł do mnie w niedzielę. Właśnie skończyłem rozmawiać o radiu z Elmore'em Armitage'em, kump-lem, który często oddawał mi przysługi, kiedy stanął obok mnie Andy. Oczywiście, wiedziałem, kim jest; był uważany za snoba i zimną rybę. Ludzie przepowiadali, że wpadnie w kłopoty. Jednym z mówiących tak był Bogs Diamond, z którym lepiej było nie mieć nic wspólnego. Andy nie miał współtowarzysza w celi i słyszałem, że sam tego chciał, chociaż już zaczęto gadać, że uważa się za lepszego od innych. Jednak ja nie musiałem słuchać plotek o kimś, kogo mogłem ocenić osobiście.

— Cześć — powiedział. — Jestem Andy Dufresne.

Wyciągnął rękę, a ja uściśnąłem ją. Nie należał do ludzi tracących czas na czczą gadaninę; od razu przeszedł do rzeczy.

— O ile wiem, jesteś człowiekiem, który może załatwić niemal wszystko.

Przyznałem, że od czasu do czasu mogę postarać się o coś.

— Jak to robisz? — zapytał Andy.

— Czasem — powiedziałem — coś po prostu wpada mi w ręce. Nie mogę tego wyjaśnić. To chyba dlatego, że jestem Irlandczykiem.

Uśmiechnął się.

— Zastanawiałem się, czy mógłbyś postarać się dla mnie o młotek skalny?

— Co to takiego i do czego ci on potrzebny?

Andy spojrzał ze zdziwieniem.

— Czy zorganizowanie jakiejś rzeczy uzależniasz od poznania jej zastosowania?

Słyszając to, zrozumiałem, dlaczego zyskał reputację snoba, faceta lubiącego się wywyższać — ale w tym pytaniu wyczułem odrobinę humoru.

— Ujmę to tak — odparłem. — Gdybyś potrzebował szczoteczki do zębów, nie zadawałbym pytań. Po prostu podałbym cenę. Widzisz, szczoteczka nie jest śmiercionośnym narzędziem.

— A ty masz poważne obiekcje wobec śmiercionośnych narzędzi?

— Właśnie.

Stara, połatana piłka baseballowa poleciała w naszym kierunku, a on odwrócił się zwinnie jak kot i złapał ją w powietrzu. Nawet Frank Malzone byłby dumny z takiego chwytu. Andy odrzucił piłkę z powrotem — szybkim i pozornie niedbałym ruchem ręki, a mimo to silnie i celnie. Widziałem, że wielu zerkało na nas ukradkiem, kiedy omawialiśmy interes. Zapewne strażnicy na wieżach również nas obserwowali. Mało mnie to wzruszało; w każdym więzieniu są więźniowie ważniejsi od innych, czterech czy pięciu w mniejszym, dwa lub trzy tuziny w większym zakładzie karnym. W Shawshank byłem jednym z tych, którzy się liczą, i to, co myślałem o Andym Dufresnem mogło mieć ogromny wpływ na to, jak mu tutaj będzie. On z pewnością o tym wiedział, ale nie płaszczył się ani nie podlizywał, za co poczułem do niego szacunek.

— W porządku. Powiem ci, co to takiego i do czego mi potrzebne. Młotek skalny wygląda jak miniaturowy kilof... mniej więcej tej wielkości.

Rozstawił dłonie na długość stopy i wtedy zobaczyłem, jak dobrze ma utrzymane paznokcie.

— Na jednym końcu ma mały ostry dziób, a na drugim płaski, tępy obuch. Chcę go mieć, ponieważ lubię skały.

— Skały — powtórzyłem.

— Przykucnij na moment — rzekł.

Spełniłem jego życzenie. Przysiedliśmy w kucki jak Indianie.

Andy nabrał garść pyłu z dziedzińca i zaczął przesiewać go między szczupłymi palcami, aż piasek przesypał się chmurką drobin. Na dłoniach pozostało mu kilka kamyków, jeden czy dwa błyszczące, pozostałe matowe i zwyczajne. Jednym z matowych był okruch kwarcu, który pozostaje matowy, póki go nie wytrzesz. Wtedy nabiera ładnego, mlecznego połysku. Andy wyczyścił go, a potem rzucił mi. Złapałem kamyk i nazwałem go.

— Kwarc, oczywiście — rzekł. — A spójrz tu. Mika. Łupek. Granit. To kawałek zwiertzałego wapienia, pochodzący ze skały, w której wykuli to miejsce.

Odrzucił kamyki i otrzepał dłonie.

— Jestem geologiem amatorem. A przynajmniej... byłem nim. W dawnym życiu. Chciałbym znów się nim stać, choćby w skromnym zakresie.

— Niedzielne ekspedycje po spacerniku? — zapytałem, wstając. Pomysł był głupi, a jednak... na widok tego kawałeczka kwarcu drgnęło mi serce. Nie wiem dlaczego; pewnie jakieś skojarzenie ze światem zewnętrznym. Na dziedzińcu więziennym nie myśli się o takich rzeczach. Kwarc to coś, co znajdujesz w małym, wartkim strumyku.

— Lepsze już takie niedzielne ekspedycje od żadnych — powiedział Andy.

— Mógłbyś wbić taki młotek w czyjaś czaszkę — zauważyłem.

— Nie mam tu wrogów — rzekł spokojnie.

— Nie? — uśmiechnąłem się. — Zaczekaj trochę.

— Jeśli będę miał jakieś kłopoty, poradzę sobie bez pomocy młotka.

— Może zamierzasz uciec? Przekopać się pod murem? Bo jeśli tak...

Uśmiechnął się uprzejmie. Kiedy trzy tygodnie później zobaczyłem ten młotek skalny, zrozumiałem dlaczego.

— Wiesz, że jeśli ktoś go zobaczy, zabiorą ci go. Odebraliby ci łyżkę, gdyby ją zauważyli. Co zamierzasz robić, siąść na środku podwórka i zacząć walić młotkiem?

— Och, sądzę, że stać mnie na coś lepszego.

Skinałem głową. To w końcu nie moja sprawa. Facet chce coś mieć. Czy potrafi to zachować, czy nie — to już jego problem.

— Ile może kosztować takie coś? — zapytałem. Zaczął mi się podobać jego spokojny, wyciszony sposób bycia. Po dziesięciu latach kicia możesz mieć naprawdę dość krzykaczy, pyszałków i głupoli. Tak, chyba można powiedzieć, że od razu polubiłem Andy'ego.

— Osiem dolarów w każdym sklepie mineralogicznym — rzekł — ale domyślałem się, że w takim interesie jak twój musisz pobierać marżę...

— Marża zwykle wynosi dziesięć procent, ale muszę ją zwiększyć w przypadku niebezpiecznych narzędzi. Takie coś jak to,

o czym mówisz, wymaga lepszego smarowania, żeby wprawić koła w ruch. Powiedzmy dziesięć dolarów.

— Niech będzie dziesięć.

Spojrzałem na niego z uśmiechem.

— A masz dziesięć dolarów?

— Mam — odparł spokojnie.

Dużo później odkryłem, że miał ponad pięćset. Przemycił je. Podczas rewizji po przybyciu do tego hotelu jeden z klawiszy ma obowiązek pochylić się i zajrzeć ci w tyłek — ale to rozległe miejsce, mówiąc oględnie, więc naprawdę zdeterminowany człowiek może schować tam różne rzeczy — na tyle dobrze, aby nie zostały znalezione, o ile klawisz, który przypadł ci w udziale, nie ma ochoty włożyć gumowej rękawicy i poszperać głębiej.

— Doskonale — powiedziałem. — Pewnie wiesz, czego oczekuję, jeśli złapią cię z tym, co ci załatwię.

— Chyba tak — odparł i widząc błysk w jego szarych oczach, zrozumiałem, że dokładnie wiedział, co zamierzam powiedzieć. Dostrzegłem w nich przebłysk typowego dlań, ironicznego poczucia humoru.

— Jeśli cię nakryją, powiesz, że znalazłeś. To wszystko i tylko tyle. Wsadzą cię do karceru na trzy czy cztery tygodnie... a ponadto, oczywiście, stracisz swoją zabawkę i wpiszą ci naganę do akt. Jeżeli podasz im moje nazwisko, już nigdy nie zrobimy żadnego interesu. Nawet gdyby chodziło o parę sznurówek czy paczkę dropsów. Ponadto napuszczę paru koleśków, żeby spuścili ci manto. Nie lubię przemocy, ale rozumiesz moją sytuację. Nie mogę dopuścić, żeby uważano, że nie potrafię sobie radzić. To by mnie wykończyło.

— Tak. Pewnie tak. Rozumiem i nie musisz się martwić.

— Nigdy się nie martwię — odparłem. — W takim miejscu jak to nie ma z tego żadnych korzyści.

Kiwnął głową i odszedł. Trzy dni później przeszedł obok mnie na spacerunku, kiedy wypuścili nas z pralni na poranną przerwę. Nie odezwał się ani nawet na mnie nie spojrzął, ale ze zręcznością karcianego magika wcisnął mi w rękę portret Aleksandra Hamiltona. Szybko się uczył. Załatwiłem mu ten młotek. Przez jedną noc miałem to narzędzie w mojej celi i było dokładnie takie, jak je opisał. Absolutnie nie nadawało się do robienia podkopu (doszedłem do wniosku, że za pomocą czegoś takiego człowiek potrzebowałby około sześciuset lat, aby przekopać się pod tymi

murami), ale wciąż miałem jakieś obiekcje. Gdyby tak wbić komuś ten młotek w głowę... facet na pewno już nigdy nie słuchałby audycji rockowych. Andy już miał kłopoty z siostrami. Liczyłem na to, że nie zechce wypróbować tego młotka na nich.

W końcu zawierzyłem własnej ocenie. Wczesnym rankiem następnego dnia, dwadzieścia minut przed pobudką, podałem młotek skalny i paczkę cameli staremu Erniemu, porządkowemu, który zamiatał korytarze oddziału piątego do czasu, aż wyszedł na wolność w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Bez słowa schował go za pazuchę i ujrzałem ten młotek dopiero dziewiętnaście lat później, kiedy był już prawie zupełnie starty.

W następną niedzielę Andy znów podszedł do mnie na spacer-niaku. Mówię wam, nie wyglądał najlepiej. Dolną wargę miał spuchniętą tak, że przypominała parówkę, prawe oko podbite i paskudną szramę na policzku. Miał kłopoty z siostrami, oczywiście, ale nigdy o tym nie wspominał.

— Dzięki za narzędzie — powiedział i odszedł.

Obserwowałem go z zaciekawieniem. Przeszedł kilka kroków, zobaczył coś w kurzu, pochylił się i podniósł. Kawałek skały. Więzienne ubrania, oprócz kombinezonów noszonych przez mechaników w warsztatach, nie mają kieszeni. Jednak można sobie z tym poradzić. Kamyk zniknął w rękawie Andy'ego i nie pojawił się ponownie. Podziwiałem to... i podziwiałem jego. Mimo problemów, jakie miał, robił swoje. Tysiące ludzi nie potrafi, nie chce lub nie może tego robić, a wielu z nich nawet nie siedzi w więzieniu. Ponadto zauważyłem, że chociaż jego twarz wyglądała jak po zderzeniu z ciężarówką, dłonie miał nadal czyste i zadbane, paznokcie przycięte.

Przez następne sześć miesięcy rzadko go widywałem; Andy większość tego czasu przesiedział w karczerze.



Kilka słów o siostrach.

W wielu zakładach nazywa się ich bykami-pedziami albo zuziami spod celi — ostatnio modne stało się określenie „zabójcze królowny”. W Shawshank zawsze nazywano ich siostrami. Nie wiem dlaczego, ale sądzę, że oprócz nazwy nie różnili się niczym od innych.

Fakt, że za murami więzień odchodzi ciężkie dupczenie, w dzisiejszych czasach nikogo nie dziwi — może oprócz paru nowicju-

szy, którzy na swe nieszczęście są młodzi, szczupli, przystojni i niedoświadczeni — ale homoseksualizm, tak jak zwyczajny seks, ma setki różnych postaci i odmian. Są tacy, którzy nie potrafią obyć się bez seksu i zadają się z innymi mężczyznami, żeby nie oszaleć. Zazwyczaj dochodzi do swego rodzaju umowy między dwoma mężczyznami, którzy dotąd byli heteroseksualni, chociaż czasami zastanawiałem się, czy potem, po powrocie do żon i kochanek, będą tak heteroseksualni, jak sądzili.

Są także tacy, którzy „odmienili się” w więzieniu. Obecnie mówi się o nich, że „stali się gejami” albo „wyszli z ukrycia”. Najczęściej (ale nie zawsze) grają rolę kobiet i o ich względy toczy się ostra rywalizacja.

I są także siostry.

Zazwyczaj należą do długoterminowych, odsiadujących spore wyroki za poważne przestępstwa. Ich ofiarą padają młodzi, słabi i niedoświadczeni... albo, jak w przypadku Andy’ego Dufresnego, wyglądający na słabych. Ich terenem łowieckim są prysznice, ciasne przejścia za maszynami pralniczymi, czasem izba chorych. Niejedną raz do gwałtu doszło w niewielkim magazynku za aulą. Najczęściej siostry biorą siłą to, co mogłyby dostać za darmo, gdyby tylko chciały; „odmienieni” zawsze zdają się mieć „słabość” do tej czy innej siostry jak nastolatki do Sinatry, Presleya czy Redforda. Cała zabawa jednak w mniemaniu sióstr polega na tym, żeby wziąć to siłą... i pewnie zawsze tak będzie.

Andy był niewysoki i przystojny, odznaczał się także spokojną pewnością siebie, za którą go podziwiałem. Siostry miały oko na niego, od kiedy tylko znalazł się za kratami. Gdybym opowiadał bajkę, powiedziałbym, że Andy walczył zaciekle, aż zostawiono go w spokoju. Chciałbym to powiedzieć, ale nie mogę. Więzienie nie ma nic wspólnego z bajką, jest aż nazbyt realne.

Po raz pierwszy dopadli go pod prysznicem niecałe trzy dni po tym, jak dołączył do naszej szczęśliwej rodziny. O ile wiem, wtedy skończyło się na poklepywaniu i łaskotaniu. Próbuje ocenić twoje siły, zanim naprawdę zaatakują, jak szakale sprawdzające, czy ofiara jest tak słaba i bezbronna, jak wygląda.

Andy rozkwasił wargę wielkiej, ponurej siostrze — niejakiemu Bogowskiemu Diamondowi, który parę lat później na zawsze zniknął mi z oczu. Strażnik interweniował na czas, ale Bogs obiecał, że dorwie Andy’ego — i zrobił to.

Do drugiego razu doszło za maszynami w pralni. Przez całe lata

w tym długim, brudnym i ciasnym przejściu działały się różne rzeczy; strażnicy wiedzieli o tym i przymykali oko. To miejsce było mroczne i zastawione workami z wybielaczem i proszkiem do prania, a także beczkami z katalizatorem Hexlite nieszkodliwym jak sól kuchenna, o ile miałaś suche ręce, ale żrącym jak kwas do akumulatorów, jeśli dotknął mokrej skóry. Strażnicy nie lubili tam wchodzić. Nie ma tam pola do manewru, a pierwszą rzeczą, jakiej uczą się, to żeby nigdy nie dać się zaskoczyć skazańcom w miejscu, z którego nie można się wycofać.

Tego dnia nie było tam Boga, ale Henley Backus, który od tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku pełnił funkcję brygadzysty, powiedział mi, że zastąpili go czterej kolesie. Andy przez jakiś czas powstrzymywał ich garścią hexlite, grożąc, że sypnie im go w oczy, jeśli podejną bliżej, ale kiedy próbował się cofnąć, potknął się o jeden z tych wielkich, czteropojemnikowych washexów. To wystarczyło. Dopadli go.

Sądzę, że wyrażenie „gwałt zbiorowy” najlepiej oddaje to, co uczynili. Położyli go na obudowie silnika i jeden z nich przyciskał mu wkrętak do skroni, podczas gdy pozostali trzej robili swoje. Taki gwałt powoduje obrażenia, ale niewielkie... Pytacie, czy wiem o tym z doświadczenia? — chciałbym, żeby tak nie było. Przez jakiś czas krwawisz. Jeżeli nie chcesz, żeby jakiś błazen zapytał, czy właśnie zaczął ci się okres, zwijasz trochę papieru toaletowego i nosisz go w spodniach, aż przestaniesz krwawić. Upływ krwi naprawdę przypomina menstruację — trwa dwa, może trzy dni. Potem ustaje. Żadnych obrażeń, o ile nie zrobili ci czegoś jeszcze gorszego; żadnych ran — ale gwałt to gwałt i w końcu musisz spojrzeć na swoją twarz w lustrze i zdecydować, co dalej.

Andy przeszedł przez to sam, tak jak w tym czasie przechodził przez wszystko. Musiał dojść do takich samych wniosków co inni, a więc, że z siostrami można sobie poradzić tylko na dwa sposoby: walczyć z nimi i ulegać albo tylko ulegać.

Postanowił walczyć. Kiedy Bogs i jego dwaj kolesie napadli na niego mniej więcej tydzień po incydencie w pralni („Słyszałem, że się poddałeś” — powiedział Bogs, według Erniego, który przypadkiem był w pobliżu), Andy rzucił się na nich. Złamał nos niejakiemu Roosterowi MacBride’owi, opasłemu farmerowi siedzącemu za pobicie pasierbicy na śmierć. Z przyjemnością dodam, że Rooster umarł w więzieniu.

Wzięli go, wszyscy trzej. Kiedy było po wszystkim, Rooster